



STEPHEN
KING

PO ZACHODZIE
SŁOŃCA

Willa

Nie widzisz tego, co masz przed oczyma, powiedziała, ale przecież chwilami to widział. Podejrzewał, że zasłużył sobie w pewnym stopniu na jej irytację, lecz z drugiej strony nie był przecież zupełnie ślepy. I kiedy niebo nad Wind River Range przybrało kolor gorzkiej pomarańczy, David rozejrzał się po stacji i zauważył, że Willa zniknęła. Nie wiem tego na pewno, pomyślał, ale to było zwykłe mędrkowanie — ssanie w dołku nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

Poszedł poszukać Landera, który ją trochę lubił. Lander rzekł, że ostra z niej dziewczyna, kiedy Willa oświadczyła, że Amtrak dał dupy, zostawiając ich w ten sposób na lodzie. Wielu innych miało ją w nosie bez względu na to, czy zostali na lodzie czy nie.

— Śmierdzi tu Meksykańcami! — krzyknęła do Davida Helen Palmer, gdy ją mijał. Udało jej się jak zawsze dotrzeć do ławki w rogu. Kobitka Rhineharta, która aktualnie zajmowała się Helen, dając Palmerowi chwilę wytchnienia, uśmiechnęła się do Davida.

— Widziała pani Willę? — zapytał.

Kobitka Rhineharta potrząsnęła głową, nie przestając się uśmiechać.

— Na kolację będzie ryba! — zawołała z wściekłością pani Palmer. W zagłębieniu jej skroni pulsowały niebieskie żyłki. Kilka osób spojrzało na nią. — Najpierw to, a teraz tamto!

— Ćśśś... — syknęła kobitka Rhineharta. Miała chyba na imię Sally, ale David uznał, że zapamiętałby to imię; ostatnio rzadko się je spotykało. Teraz królowały Amber, Ashley i Tiffany. Willa też była na wymarciu i sama myśl o tym sprawiła, że ścisnęło go w dołku.

— Meksykańcami! — wrzasnęła Helen, plując śliną. — Jakby kiblowali tu brudni starzy Meksykanie!

Henry Lander siedział na ławce pod zegarem. Ręką obejmował żonę. Podniósł wzrok i potrząsnął głową, zanim jeszcze David zdążył go zapytać.

— Nie ma jej tu. Przykro mi. Jeśli masz szczęście, poszła do miasta. Jeśli nie, zmyła się na dobre — dodał, unosząc kciuk w geście łapania okazji.

David nie sądził, by jego narzeczona wybrała się gdzieś autostopem — pomysł był wariacki — ale wierzył, że jej tutaj nie ma. Właściwie wiedział o tym, zanim jeszcze policzył głowy i przypomniał sobie urywek starej książki albo wiersza o zimie: „Krzyk nieobecności, nieobecności w sercu”.

Stacja była wąską drewnianą kiszka. Ludzie włączyli się bez celu wzdłuż całej jej długości albo siadali po prostu na ławkach pod jarzeniówkami. Ramiona siedzących opadały pod tym szczególnym kątem, który widuje się, kiedy ludzie czekają, aż coś, co się zepsuło, zostanie naprawione i będzie można podjąć przerwana podróż. Niewiele osób przyjeżdża w konkretnym celu do Crowheart Springs w Wyoming.

— Nie łaź za nią, David — powiedziała Ruth Lander. — Robi się ciemno i na dworze są różne zwierzaki. Nie tylko kojoty. Ten kulawy sprzedawca książek powiedział, że po drugiej stronie torów, tam gdzie jest ten magazyn, widział dwa wilki.

— Biggers — wtrącił Henry. — Tak się nazywa ten sprzedawca.

— Dla mnie może się nazywać Kuba Rozpruwacz — odparła Ruth. — Chodzi o to, że nie jesteś już w Kansas, Davidzie.

— Ale jeśli poszła...

— Wyszła, kiedy było jeszcze widno — oświadczył Henry Lander, tak jakby światło dzienne mogło powstrzymać wilka (albo niedźwiedzia) przed zaatakowaniem samotnej kobiety. Z tego, co wiedział David, mogło. Był jednak doradcą inwestycyjnym, a nie ekspertem od dzikiej przyrody. W dodatku młodym doradcą inwestycyjnym.

— Jeśli podstawią teraz zastępczy skład, nie zdąży do niego wsiąść — powiedział.

Ten prosty fakt najwyraźniej do nich nie docierał. Po prostu tego nie kumali, jak mówiono ostatnio w jego banku w Chicago.

Henry uniósł brwi.

— Chcesz powiedzieć, że będzie lepiej, jeśli oboje nie zdążycie na ten pociąg?

Jeżeli oboje nie zdążą, mogą razem złapać jakiś autobus albo poczekać na następny pociąg. Henry i Ruth Landerowie chyba to rozumieli. A może nie. Przyglądając się im, David widział przede wszystkim — miał to tuż przed oczyma — to szczególne znużenie zarezerwowane dla ludzi, którzy tymczasowo ugrzęźli na jakimś zadupiu. A kogo jeszcze obchodziła Willa? Gdyby zniknęła z pola widzenia na Wielkich Równinach, kto poza Davidem Sandersonem zainteresowałby się tym choć przez chwilę? Budziła nawet pewną antypatię. Ta suka Ursula Davis raz mu powiedziała, że gdyby matka Willi nie dostawiła „a” do jej imienia, „byłoby wprost idealnie”.

— Idę do miasta jej poszukać — powiedział.

— Bardzo głupio robisz, synu. — Henry westchnął.

— Nie weźmiemy ślubu w San Francisco, jeżeli Willa nie

zdaży na pociąg w Crowheart Springs — odparł David, chcąc, by zabrzmiało to jak żart.

Obok nich przechodził Dudley. David nie miał pojęcia, czy Dudley to jego imię czy nazwisko, wiedział tylko, że jest kierownikiem w sieci Staples i jechał do Missouli na jakieś regionalne spotkanie. Normalnie był bardzo cichy, więc podobny do oślego porykiwania śmiech, jaki nagle wydobył się z jego gardła, był bardziej niż zaskakujący; wywołał prawdziwy szok.

— Jeżeli podstawią pociąg i nie zdażycie do niego wsiąść — powiedział — możecie odszukać sędziego pokoju i wziąć ślub tutaj. Po powrocie na Wschodnie Wybrzeże opowiecie wszystkim swoim znajomym, że mieliście prawdziwe kowbojskie wesele. Juhuu, partnerze.

— Nie rób tego — upierał się Henry. — Długo tu nie zostaniemy.

— Więc powinienem ją zostawić? To obłąd.

David ruszył dalej, zanim Lander lub jego żona zdażyli odpowiedzieć. Na ławce obok siedziała Georgia Andreeson, obserwując swoją ubraną w czerwoną sukienkę córkę, która skakała po brudnych kaflach podłogi. Pammy Andreeson nigdy nie wydawała się zmęczona. David próbował sobie przypomnieć, czy choć raz się zdrzemnęła, odkąd pociąg wypadł z torów na rozjeździe przy Wind River i wylądowali tutaj niczym jakaś zapomniana paczka w nieoprózniczanej skrzynce pocztowej. Może raz, położywszy głowę na kolanach matki. Ale to mogło być urojenie zrodzone z przekonania, że pięciolatki muszą dużo spać.

Pammy skakała rozbawiona z kafla na kafeł, grając najwyraźniej w klasy. Czerwona sukienka wirowała wokół jej pulchnych kolan.

— Znałam chłopaka, nazywał się Danny — zawodziła tak

monotonnie, że Davidowi zrobiło się ciężko na sercu. — Potknął się, wyrócił i wpadł do wanny. Znałam faceta, pana Davida. Potknął się, wyrócił i wpadł na Żyda. — Zachichotała i wskazała palcem Davida.

— Przestań, Pammy — powiedziała Georgia Andreeson, po czym uśmiechnęła się do Davida i odgarnęła włosy z twarzy. Ten gest świadczył według niego o niewysłowionym znużeniu i pomyślał, że Georgia ma przed sobą długą drogę z obdarzoną żywym temperamentem Pammy, zwłaszcza że nic nie świadczyło o istnieniu pana Andreesona.

— Widziała pani Willę? — zapytał.

— Wyszła — oznajmiła, wskazując drzwi, nad którymi wisiał napis AUTOBUS, TAXI, W SPRAWIE WOLNYCH MIEJSC W HOTELU PROSZĘ DZWONIC Z BEZPŁATNEGO TELEFONU.

Zbliżał się do niego utykający na jedną nogę Biggers.

— Bez szybkostrzelnego sztucera unikałbym otwartych przestrzeni. Są tam wilki. Widziałem je — oświadczył.

— Znałam dziewczynę, nazywała się Willa. Bolała ją głowa i była tu nowa — zaśpiewała Pammy, po czym padła na podłogę, zanosząc się śmiechem.

Sprzedawca Biggers, nie czekając na odpowiedź, pokuśtykał z powrotem przez całą stację. Jego cień wydłużył się, skurczył w świetle wiszącej pod sufitem jarzeniówki, a potem ponownie wydłużył.

Phil Palmer opierał się o framugę drzwi, nad którymi wisiał napis o autobusie i taksówkach. Był emerytowanym agentem ubezpieczeniowym. Razem z żoną jechali do Portlandu. Mieli zamiar pomieszkać jakiś czas u swojego najstarszego syna i jego żony, ale Palmer zwierzył się Davidowi i Willi, że Helen prawdopodobnie nigdy już nie wróci na wschód. Miała raka, a poza tym alzheimera. Willa nazwała to dwupakiem. Kiedy

David stwierdził, że to trochę okrutne, Willa spojrzała na niego, tak jakby miała ochotę coś odpowiedzieć, ale potem potrzęsła tylko głową.

— Hej, poeta, masz peta? — zapytał teraz Palmer, tak jak to zawsze robił.

Na co David odparł, tak jak to zawsze robił:

— Nie palę, panie Palmer.

— Tylko cię podpuszczałem, mały — podsumował Palmer.

Kiedy David wyszedł na betonowy peron, na którym wysadzeni pasażerowie czekali na pociąg do Crowheart Springs, Palmer się zafrasował.

— To nie najlepszy pomysł, młody przyjacielu.

Jakieś zwierzę — mógł to być duży pies, ale chyba jednak co innego — zawyło po drugiej stronie stacji, gdzie bylica rosła prawie przy samych torach. Po chwili dołączył do niego harmonijnie drugi głos, a potem oba ucichły.

— Widzisz, o co mi chodzi, skarbie? — rzucił z uśmiechem Palmer, jakby wyczarował to podwójne wycie, żeby udowodnić, że ma rację.

David odwrócił się i ruszył w dół po schodach. Podmuch wiatru zatrzepotał jego lekką marynarką. Szedł szybko, żeby się nie rozmyślić, i tylko pierwszy krok okazał się trudny. Potem myślał już jedynie o Willi.

— Davidzie — odezwał się Palmer, teraz już nie przekomarzając się z nim i nie wygłupiając. — Nie rób tego.

— Dlaczego? Ona się nie bała. Poza tym wilki są tam — odparł David, pokazując kciukiem za siebie. — Jeśli to rzeczywiście wilki.

— Oczywiście, że wilki. I to prawda, że chyba cię nie zaatakują. Wątpię, żeby były szczególnie wygłodniałe o tej porze roku. Ale nie ma potrzeby, byście oboje spędzili Bóg wie ile czasu gdzieś na odludziu tylko dlatego, że odbiła jej szajba.

— Czegoś pan chyba nie rozumie: to moja dziewczyna.

— Powiem ci gorzką prawdę, przyjacielu: gdyby naprawdę uważała się za twoją dziewczynę, nie zrobiłaby tego, co zrobiła. Nie uważasz?

Z początku David nie odpowiedział, bo nie był pewien, co o tym sądzi. Być może dlatego, że często nie widział tego, co miał przed oczyma. Tak powiedziała Willa. W końcu odwrócił się i zadzierając głowę, spojrzął na Phila Palmera, który opierał się o framugę drzwi.

— Uważam, że nie zostawia się narzeczonej gdzieś na odludziu. Tak właśnie uważam.

Palmer westchnął.

— Mam nadzieję, że jeden z tych ludojadów ugryzie cię w ten twój wielkomiejski tyłek. Nauczyłoby cię to rozumu. Mała Willa Stuart nie dba o nikogo poza sobą i widzą to wszyscy oprócz ciebie.

— Chce pan, żebym kupił papierosy, gdybym miał po drodze sklepik Nite Owl albo Seven-Eleven?

— Czemu nie, kurwa? — odparł Palmer. — Davidzie! — zawołał po chwili, kiedy ten mijał namalowany na pustej jezdni napis ZAKAZ PARKOWANIA POSTÓJ TAKSÓWEK.

David się odwrócił.

— Podstawią pociąg dopiero jutro, a do miasteczka są trzy mile. Tak tu napisali, na tylnej ścianie punktu informacyjnego. To daje sześć mil tam i z powrotem, pieszo. Zajmie ci to dwie godziny, nie licząc czasu, który stracisz, żeby ją odnaleźć.

David podniósł rękę na znak, że słyszy, jednak nie zwolnił kroku. Wiatr był zimny, wiał od strony gór, lecz podobało mu się, jak szarpie jego ubranie i mierzwi włosy. Z początku wypatrywał wilków, najpierw po jednej, potem po drugiej stronie drogi, ale kiedy żadnego nie zobaczył, wrócił myślami do Willi. I rzeczywiście, od drugiej czy trzeciej spędzonej z nią randki rzadko myślał o czym innym.

Odbiła jej szajba: Palmer nie miał co do tego żadnych wątpliwości, lecz David nie wierzył, żeby dbała tylko o siebie. Tak naprawdę miała po prostu dosyć siedzenia z bandą markotnych starych pierników narzekających, że spóźnią się na to czy tamto. Nie spodziewała się pewnie zbyt wiele po tym miasteczku, ale miała nadzieję, że się trochę zabawi, i to pociągało ją bardziej niż myśl, że Amtrak przyśle zastępczy pociąg, kiedy jej nie będzie.

I gdzie mogła się wybrać, żeby się zabawić?

Był pewien, że w Crowheart Springs nie ma czegoś, co można by nazwać nocnym klubem. Stacja kolejowa była tu po prostu długą zieloną szopą z wymalowanym z boku czerwona, białą i niebieską farbą napisem WYOMING — STAN RÓWNOŚCI. Żadnych nocnych klubów ani dyskotek, ale musiały tam być niewątpliwie jakieś bary i doszedł do wniosku, że sprawdzi jeden z nich. Jeśli nie mogła liczyć na clubbing, zostały jej szafy grające.

Nadeszła noc i gwiazdy zapalały się na niebie, tak jakby ktoś rozwijał ze wschodu na zachód obszyty cekinami dywanik. Połówka księżyca weszła między dwoma szczytami, rozjaśniając chorym blaskiem drogę i otwarty teren po jej obu stronach. Wiatr świstał pod okapami stacji, lecz tutaj wydawał dziwne buczenie, które nie było do końca wibracją. Przypominało mu nuconą przez Pammy Andreeson melodię.

Idąc, nasłuchiwał za sobą odgłosów zbliżającego się pociągu. Nie słyszał go; kiedy wiatr ucichł, dobiegło go za to ciche, lecz doskonale słyszalne klik-klik-klik. Odwrócił się i zobaczył wilka, który stał mniej więcej dwadzieścia kroków za nim na drodze numer 26, na przerywanej środkowej linii. Był wielkości cielaka i miał sierść zmierzwioną niczym rosyjska czapa. W świetle gwiazd jego futro wydawało się czarne, oczy były koloru uryny. Zobaczył Davida i stanął. Otworzył pysk i zaczął

ziając, wydając dźwięk przypominający sapanie małej lokomotywy.

Nie było czasu się bać. David zrobił krok w jego kierunku i klasnął w dłonie.

— Wynoś się stąd! Sio! Już cię nie ma!

Wilk machnął ogonem i uciekł, zostawiając po sobie parujące na drodze numer 26 odchody. David uśmiechnął się, ale udało mu się nie wybuchnąć śmiechem; uznał, że nie powinien kusić licha. Czuł się jednocześnie wystraszony i absurdalnie, totalnie spokojny. Przyszło mu na myśl, żeby zmienić nazwisko z Davida Sandersona na Davida Pogromcę Wilków. Całkiem odpowiednie nazwisko dla doradcy inwestycyjnego.

A potem cicho się roześmiał — naprawdę nie mógł się powstrzymać — i ruszył dalej w stronę Crowheart Springs. Tym razem oglądał się nie tylko na boki, lecz co pewien czas przez ramię, ale wilk nie wrócił. Nabrał za to pewności, że usłyszy zbliżający się zastępczy skład; część ich pociągu, która nadal stała na torach, została pewnie usunięta i czekający na stacji ludzie znajdą się wkrótce z powrotem w drodze — Palmerowie, Landerowie, kulawy Biggers, roztańczona Pammy i cała reszta.

No i co z tego? Amtrak przechowa ich bagaże; mogli chyba liczyć przynajmniej na to. Razem z Willą znajdą miejscowy dworzec autobusowy. Greyhound odkrył już chyba Wyoming.

Zobaczył leżącą na drodze puszkę budweisera i przez pewien czas ją kopał. Za którymś razem poleciała na bok, w zarośla, i kiedy zastanawiał się, czy po nią nie pójść, usłyszał nagle niewyraźną muzykę: linię basu oraz wysoki ton pedałowej gitary, który przypominał mu zawsze chromowane łyzy. Nawet w wesołych piosenkach.

Willa była tam i słuchała muzyki. Nie dlatego, że było to najbliższe miejsce, gdzie coś grali, ale ponieważ było to odpo-

wiednie miejsce. Wiedział o tym. Dlatego zostawił puszkę i ruszył w stronę pedałowej gitary, wzbijając przy każdym kroku obłoczki kurzu, które porywał wiatr. Po chwili pojawił się dźwięk perkusji, a później czerwona neonowa strzałka pod szyldem, na którym widać było po prostu „26”. Cóż, czemu nie? Lokal stał w końcu przy drodze numer 26. Idealna nazwa dla tancbudy.

Były tam dwa parkingi, ten od frontu wyasfaltowany i zastawiony samochodami osobowymi i pick-upami, w większości amerykańskimi i w większości co najmniej pięcioletnimi. Parking z tyłu wysypano żwirem. Pod jaskrawym sinobiałym światłem lamp sodowych stały tam w rzędzie ciężarówki. David słyszał już także gitarę rytmiczną oraz prowadzącą i przeczytał napis nad drzwiami. TYLKO JEDEN WIECZÓR. DERAILERS*. WSTĘP 5 \$. PRZEPRASZAMY.

Cóż, z pewnością znalazła właściwą kapelę, pomyślał.

Miał w portfelu piątkę, ale hol wejściowy był pusty. Za nim, na dużym drewnianym parkiecie ujrzał pełno tańczących w wolnym rytmie par, trzymających się na ogół za tyłki i ubranych w dżinsy i kowbojskie buty. Zespół grał *Wasted Days and Wasted Nights*. Wykonywali tę piosenkę głośno, ckliwie i — na ile mógł to ocenić David Sanderson — nie fałszując. W nozdrza uderzyły go zapachy piwa, potu, wody kolońskiej Brut i kupionych w Wal-Marcie perfum. Śmiechy i rozmowy — nawet dzikie „juhuu” z drugiego końca parkietu — przypominały odgłosy ze snu, który śni nam się bez końca w pewnych przełomowych momentach życia: snu, w którym nie jesteśmy przygotowani do ważnego egzaminu, w którym jesteśmy nadzy w miejscu publicznym, snu o tym, że spadamy, snu, w którym idziemy szybko w stronę skrzyżowania w jakimś nieznanym mieście, wiedząc, że za rogiem czai się przeznaczenie.

* Derailers (ang.) — w wolnym przekładzie: wykolejeńcy.

David zastanawiał się, czy nie włożyć piątki z powrotem do portfela, ale potem nachylił się do budki biletowej, rzucił banknot na blat (który był pusty, jeśli nie liczyć paczki lucky strike'ów leżącej na tanim wydaniu powieści Danielle Steel) i wszedł do zatłoczonej sali.

Derailers przerzucili się na coś bardziej skoczego i młodszy tancerze zaczęli podskakiwać w miejscu niczym dzieciaki na punkowym koncercie. Starsze pary po lewej stronie Davida utworzyły dwa korowody. Przyjrzawszy się im uważniej, zdał sobie sprawę, że jest tylko jeden korowód. Jedną ze ścian tworzyło wielkie lustro, dzięki któremu parkiet sprawiał wrażenie dwa razy większego niż w rzeczywistości.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

— Ty płacisz, kolego! — zawołał wokalista. Derailers zagrali kawałek instrumentalny, a tancerze nagrodzili brawami dowcip, który mógł się wydawać całkiem udany, pomyślał David, kiedy komuś szumi w głowie tequila.

Nad barem w kształcie podkowy wisiała neonowa replika Wind River Range w kolorach czerwonym, białym i niebieskim. W Wyoming kochali się najwyraźniej w czerwieni, bieli i błękitach. Neon w podobnych kolorach uprzedzał: JESTEŚ W BOGOBOJNYM KRAJU, KOLEGO. Po jego lewej stronie wisiało logo budweisera, po prawej coors. Czekający na drinki ludzie stali w czterech rzędach. Trio barmanów w białych koszulach i czerwonych kamizelkach potrząsało shakerami niczym sześciostrzałowymi rewolwerami.

To była istna stodoła — musiało się tu bawić z pięćset osób — ale David nie bał się, że nie zdoła znaleźć Willi. Działając magiczny talizman, pomyślał, omijając z boku parkiet, a chwilami puszczając się w tany, kiedy trzeba było uniknąć zderzenia z pływającymi kowbojami i kowbojkami.

Za barem i parkietem tanecznym znajdowała się mała ciemna

sala z wnękami, które przedziały wysokie przepierzenia. Prawie w każdej siedział kwartet z jednym albo dwoma dzbankami piwa dla pokrzepienia serc. Lustra powiększały każdą grupkę do ośmiu osób. Tylko jedna wnęka nie była zatłoczona. Willa siedziała w niej sama w kwiecistej sukience z wysokim karczkiem, kompletnie odstającej od tych wszystkich lewisów, dżinsowych spódnic i koszul z perłowymi guzikami. Nie kupiła sobie również nic do picia ani do jedzenia — blat stolika był pusty.

Z początku go nie zauważyła. Przyglądała się tańczącym. Miała zaczerwienione policzki i głębokie dołeczki w kącikach ust. Kompletnie nie pasowała do tego miejsca, ale nigdy nie kochała jej bardziej. To była Willa na skraju uśmiechu.

— Cześć, Davidzie — powiedziała, kiedy koło niej usiadł. — Miałam nadzieję, że przyjdiesz. Byłam pewna, że to zrobisz. Czy to nie wspaniała kapela? Grają tak głośno!

Prawie krzyczała, żeby ją usłyszał, ale widział, że to też jej się podoba. Obrzuciwszy go krótkim spojrzeniem, wróciła do obserwowania tancerzy.

— To prawda, są dobrzy — odparł. I rzeczywiście byli. Czuł, że wciąga go ich muzyka, mimo niepokoju, który powrócił. Teraz, kiedy już ją odnalazł, znowu zaczął się martwić o ten cholerny pociąg. — Wokalista ma głos zupełnie jak Buck Owens.

— Naprawdę? — Spojrzała na niego z uśmiechem. — Kto to jest Buck Owens?

— Nieważne. Powinniśmy wracać na stację. Chyba że chcesz tu utknąć na kolejny dzień.

— To nie byłoby najgorsze. Chyba mi się podoba ten lo... och, uważaj!

Nad parkietem poszybowała szklanka, błyskając zielonymi i złotymi refleksami, po czym roztrzaskała się gdzieś poza

połem widzenia. Powitano to wiwatami i oklaskami — Willa też klaskała — ale David zobaczył, że kilku mięśniaków z wydrukowanymi na T-shirtach słowami OCHRONA i SŁUŻBA PORZĄDKOWA ruszyło w stronę miejsca, skąd odpalono pocisk.

— W takim miejscu możesz liczyć na cztery bójki na parkingu jeszcze przed jedenastą. I czasami na jedną wielką zadymę w środku tuż przed ostatnią kolejką — powiedział.

Willa roześmiała się i wycelowała w niego z dwóch palców wskazujących.

— To świetnie! Chcę to zobaczyć!

— A ja chcę, żebyśmy wrócili. Jeśli chcesz się wybrać do muzycznej knajpy w San Francisco, zabiorę cię. Obiecuję.

Willa wyduła dolną wargę i potrząsnęła rudawozłotymi włosami.

— To nie będzie to samo. Dobrze o tym wiesz. W San Francisco piją prawdopodobnie... no nie wiem... makrobiotyczne piwo.

To go rozśmieszyło. Podobnie jak doradca inwestycyjny o nazwisku Pogromca Wilków, pomysł makrobiotycznego piwa był po prostu zbyt zakręcony. Ale śmiech skrywał niepokój; czy nie było tak, że śmiał się, bo nie mógł opanować niepokoju?

— Zrobimy teraz krótką przerwę i niedługo wrócimy — oznajmił wokalista, ocierając pot z czoła. — Napijcie się i pamiętajcie: nazywam się Tony Villanueva i grają dla was Derailers.

— To sygnał, żebyśmy włożyli nasze diamentowe buciki i wyszli — rzekł David i wziął Willę za rękę.

Wysunął się z wnęki, lecz ona za nim nie wyszła. Nie puściła jednak jego ręki i usiadł z powrotem, czując, jak ogarnia go panika. Teraz chyba wiedział, co czuje ryba, kiedy zdaje sobie sprawę, że nie zdoła urwać się z haczyka, że haczyk trzyma ją

mocno i solidnie i Pan Pstrąg wylądował zaraz na brzegu, i po raz ostatni machnie ogonem. Willa patrzyła na niego swoimi zabójczo błękitnymi oczyma, w kącikach ust miała dołeczki: Willa na skraju uśmiechu, jego przyszła żona, która rano czytała powieści, a wieczorami poezję i uważała, że telewizyjne wiadomości są... jak ona to ujęła? Efemeryczne.

— Popatrz na nas — powiedziała, odwracając od niego głowę.

Spojrzał na lustrzaną ścianę po ich lewej stronie. Zobaczył tam miłą młodą parę ze Wschodniego Wybrzeża, która utknęła w Wyoming. W swojej sukience w kwiatki Willa wyglądała lepiej od niego, ale przypuszczał, że tak będzie zawsze. Unosząc brwi, odwrócił się od lustrzanej Willi do tej prawdziwej.

— Nie, popatrz jeszcze raz. — W kącikach ust nadal miała dołeczki, ale była teraz poważna, jeśli można było w ogóle zachować powagę w tej zabawowej atmosferze. — I pomyśl o tym, co ci mówiłam.

Mówiłaś mi wiele rzeczy i myślę o nich wszystkich, miał na końcu języka, ale to byłaby odpowiedź zakochanego, miła i w zasadzie bez znaczenia. A ponieważ wiedział, o co jej chodzi, bez słowa spojrzał ponownie w lustro. Tym razem naprawdę spojrzał. W lustrze nie było nikogo. Patrzył na jedyną pustą wnękę w całej „26”. Odwrócił się do Willi, osłupiały... a mimo to wcale niezaskoczony.

— Nie zastanawiałeś się, jakim cudem atrakcyjna kobieta może siedzieć tutaj sama, podczas gdy wszyscy dookoła balują aż miło i leje się alkohol? — zapytała.

Potrząsnął głową. Nie zastanawiał się. Było sporo rzeczy, nad którymi się nie zastanawiał, przynajmniej do tej chwili. Na przykład kiedy ostatnio coś zjadł lub wypił. Albo która jest godzina i kiedy ostatnio świeciło słońce. Nie wiedział nawet dokładnie, co im się przytrafiło. Jedynie to, że Northern Flyer

wypadł z torów, a teraz jakimś dziwnym zrządzeniem losu siedzieli tutaj i słuchali countrywesternowej grupy o nazwie...

— Kopnąłem puszkę — powiedział. — W drodze tutaj kopnąłem puszkę.

— Owszem — odparła — i kiedy pierwszy raz spojrzaleś, zobaczyłeś nas w lustrze, prawda? Percepcja to nie wszystko, ale percepcja i oczekiwanie razem wzięte...? — Mrugnęła i pochyliła się w jego stronę. Jej pierś oparła się o jego ramię, kiedy go całowała i wrażenie było miłe: z pewnością poczuł żywe ciało. — Biedny David, przykro mi. Ale byłeś dzielny, że tu przyszedłeś. Tak naprawdę wcale się tego nie spodziewałam.

— Musimy tam wrócić i powiedzieć innym.

Willa zacisnęła wargi.

— Po co?

— Bo...

Dwaj mężczyźni w kowbojskich kapeluszach prowadzili w stronę ich wnęki dwie śmiejące się dziewczyny w dżinsach, kraciastych koszulach i z kucykami na plecach. Kiedy się zbliżyli, na ich twarzach pojawił się identyczny wyraz zmieszania — niekoniecznie lęku — i skrećili w kierunku baru. Czują nas, pomyślał David. Odpycha ich coś w rodzaju zimnego powietrza — tym teraz jesteśmy.

— Bo to właśnie powinniśmy zrobić — dokończył.

Willa roześmiała się. W jej śmiechu zabrzmiało znużenie.

— Przypominasz mi tego starego faceta, który sprzedawał w telewizji płatki owsiane.

— Skarbie, oni myślą, że przyjedzie pociąg i ich zabierze!

— Cóż, może i przyjedzie! — Jej niespodziewanie ostry ton prawie go wystraszył. — Ten pociąg, o którym zawsze śpiewają, pociąg dobrej nowiny, pociąg do chwały, pociąg, którym nie jadą hazardziści i typy spod ciemnej gwiazdy.

— Nie sądzę, żeby Amtrak miał połączenie z niebem —

mruknął David. Miał nadzieję, że ją rozśmieszy, ale ona przyjrzała się swoim dłoniom z niemal ponurym wyrazem twarzy, i nagle coś go tknęło. — Czy jest coś jeszcze, co wiesz? Coś, co powinniśmy im powiedzieć? Jest coś takiego, prawda?

— Nie wiem, po co mielibyśmy się tym przejmować, skoro możemy tu po prostu posiedzieć — odparła i wydało mu się, że słyszy w jej głosie rozdrażnienie. Tak, wyraźnie je usłyszał. To była Willa, której nie znał. — Może i jesteś trochę krótkowzroczny, Davidzie, ale przynajmniej przyszedłeś. Kocham cię za to — dodała i znów go pocałowała.

— Spotkałem również wilka. Klasnąłem w dłonie i uciekł. Zastanawiam się, czy nie zmienić nazwiska na David Pogromca Wilków.

Patrzyła na niego przez chwilę z otwartymi ustami i David zdążył pomyśleć: musiałem poczekać, aż umrzemy, żeby naprawdę zaskoczyć kobietę, którą kocham. Willa oparła się o wyściełane przepierzenie wnęki i wybuchła głośnym śmiechem. Przechodząca obok kelnerka upuściła pełną tacę piwa i soczyście zakłęła.

— Pogromca Wilków! — zawołała Willa. — Chcę cię tak nazywać w łóżku! Och, och, Pogromco Wilków, jaki jesteś wielki! Jaki owłosiony!

Kelnerka wpatrywała się w wielką spienioną plamę na podłodze, klnąc niczym marynarz na przepustce. Przez cały czas trzymała się z daleka od jedynej pustej wnęki.

— Myślisz, że nadal możemy? — zapytał David. — To znaczy kochać się?

Willa otarła łzy, które popłynęły jej z oczu.

— Percepcja i oczekiwanie, pamiętasz? Razem mogą przenosić góry — podsumowała i wzięła go znowu za rękę. — Nadal cię kocham, a ty kochasz mnie. Prawda?

— Czyż nie jestem Pogromcą Wilków? — zapytał. Mógł

obrócić to w żart, ponieważ nie do końca wierzył, że nie żyje. Spojrzał w lustro i zobaczył ich oboje. A potem tylko siebie, z ręką trzymającą pustkę. Później oboje zniknęli. A mimo to... oddychał, czuł zapach piwa, whiskey i perfum.

Nie wiadomo skąd pojawił się pomywacz i zaczął pomagać kelnerce w uprzątnięciu bałaganu.

— Miałam wrażenie, że schodzę w dół — usłyszał jej głos David. Czy takie rzeczy słyszy się w zaświatach?

— Chyba z tobą wrócę — powiedziała Willa — ale nie będę sterczała na tej nudnej stacji z tymi nudnymi ludźmi, kiedy obok jest ten lokal.

— W porządku — odparł.

— Kto to jest Buck Owens?

— Wszystko ci o nim opowiem — obiecał. — I o Royu Clarku. Ale najpierw zdradź, co jeszcze wiesz.

— Większość z nich w ogóle mnie nie obchodzi, ale Henry Lander jest miły. Podobnie jak jego żona.

— Phil Palmer też jest do rzeczy.

Willa zmarszczyła nos.

— Phil grzdyl.

— Co jeszcze wiesz, Willo?

— Zobaczysz sam, jeśli naprawdę popatrzysz.

— Czy nie byłoby prościej, gdybyś...

Najwyraźniej nie. Willa wstała, przyciskając uda do krawędzi stołu, i wskazała palcem przed siebie.

— Zobacz! Wraca zespół!



Kiedy on i Willa wyszli na drogę, trzymając się za ręce, księżyc mieli nad głowami. David nie wiedział, jak to możliwe — wysłuchali tylko dwóch pierwszych piosenek z następnej części koncertu — ale jego tarcza świeciła wysoko na roz-

gwieźdzonym niebie. To było niepokojące, lecz o wiele bardziej niepokoiło go coś innego.

— Który mamy rok, Willo? — zapytał.

Zaczęła się zastanawiać. Wiatr szarpał jej sukienkę, tak jak szarpałby sukienkę każdej żywej kobiety.

— Nie pamiętam dokładnie — odparła. — Czy to nie dziwne?

— Zważywszy na fakt, że nie pamiętam, kiedy ostatnim razem jadłem jakiś posiłek albo wypilem szklanek wody? Niezbyt dziwne. Gdybyś miała zgadywać, co byś powiedziała? Szybko, bez zastanowienia.

— Tysiąc dziewięćset... osiemdziesiąty ósmy?

David pokiwał głową. Sam obstawiałby 1987.

— Tam w środku widziałem dziewczynę w T-shircie, na którym był napis LICEUM CROWHEART SPRINGS ROCK-
NIK ZERO TRZY. Skoro miała dość lat, żeby wpuścili ją do tej knajpy...

— W takim razie rok dwa tysiące trzeci musiał być co najmniej trzy lata temu.

— To samo przyszło mi na myśl... — David nagle urwał. — To nie może być rok dwa tysiące szósty... Willa, powiedz? To znaczy dwudziesty pierwszy wiek?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli stukanie pazurów po asfalcie. Tym razem więcej niż jednego zwierzęcia; drogą szły za nimi cztery wilki. Największy z nich, idący z przodu, był tym samym wilkiem, który stanął za Davidem, kiedy ten szedł do Crowheart Springs. Wszędzie poznałby to zmierzwiłone czarne futro. Miał teraz bardziej lśniące oczy. W każdym z nich widać było podobną do przygaszonej lampy połówkę księżyca.

— Widzą nas! — zawołała Willa, wpadając w coś w rodzaju ekstazy. — Davidzie, one nas widzą! — Uklękła na kolano na białej przerywanej linii i wyciągnęła prawą rękę. — No, smyku! Chodź do mnie. — Cmoknęła.